

TEATR

POLSKI

WROCŁAW

SEZON 1972/1973

Arthur Miller
**CZAROWNICE
Z SALEM**

(The Crucible)

PRZEKŁAD: WACŁAWA KOMARNICKA, KRYSTYNA TARNOWSKA

REŻYSERIA: ZYGMUNT HÜBNER

WSPÓŁPRACA REŻYSERSKA: WIESŁAW GÓRSKI

SCENOGRAFIA: MARCIN WENZEL

MUZYKA: ZBIGNIEW PIOTROWSKI

RUCH SCENICZNY: LEON GÓRECKI



DYREKTOR
MARIAN WAWRZYNEK

KIEROWNICTWO ARTYSTYCZNE
MARIA STRASZEWSKA

PREMIERA 14 KWIETNIA 1973

OBSADA:

PARRIS, pastor	ANDRZEJ POLKOWSKI
PUTNAM, gospodarz	TADEUSZ SKORULSKI
PANI PUTMAN, jego żona	JANINA ZAKRZEWSKA
ABIGAIL	HALINA PIECHOWSKA
ZUZANNA	ANNA KOŁAWSKA
BETTY	* * *
MERCY LEWIS	TERESA WICIŃSKA
MARY WARREN	MARTA ŁAWIŃSKA
TITUBA	LUCJA BURZYŃSKA
JOHN PROCTOR	ROMUALD MICHAŁEWSKI
ELŻBIETA	MIROSLAWA LOMBARDO
REBEKA NURSE	SABINA WIŚNIEWSKA
FRANCIS NURSE	ALBERT NARKIEWICZ
GILES COREY	WŁADYSŁAW DEWOYNO
JOHN HALE	IGOR PRZEGRODZKI
CHEEVER, krawiec	MARIAN WIŚNIEWSKI
HERRICK, szeryf	MIECZYSLAW ŁOZA
HATHORNE, sędzia	PIOTR KUROWSKI
DANFORTH, z-ca prokuratora	BOLESŁAW ABART

PRZEDSTAWIENIE PROWADZI: JANUSZ ŁOZA
 SUFLER: KAZIMIERZ CHORAŻAK
 ŚWIATŁO: KAZIMIERZ PIĄTEK
 REALIZACJA DŹWIĘKU: HUBERT BREGUŁA



Tragizm rodzi się wtedy gdy człowiek staje wobec konieczności złożenia w ofierze swojego ciała chcąc ocalić duszę. (A sądzę, że sami wolimy tego nie robić, natomiast wydaje nam się to cenne i godne pochwały u innych.)

Arthur Miller

ARTHUR MILLER

ur. 17 X 1915 w Nowym Jorku. Drama-

turg amerykański. Pochodzi z rodziny kupieckiej, zubożałej w okresie wielkiego kryzysu lat trzydziestych i zamieszkałej w związku z tym w Harlemie. Studiował na uniwersytecie w Ann Arbor, pracując jednocześnie jako nocny redaktor w miejscowym dzienniku i pisząc jednoaktówki dla teatru studenckiego. Po ukończeniu studiów powrócił do Nowego Jorku, próbował różnych zajęć (m.in. był szoferem, kelnerem itd.), a jednocześnie pisywał słuchowiska radiowe. Debiutował w 1944 utworem scenicznym *The Man Who Had All The Luck* (Człowiek który posiadał pełne szczęście), wystawionym na Broadwayu. W tym samym roku wydał tom reportaży wojennych *Situation Normal* (Normalna sytuacja), a w roku następnym jedyną jak dotąd powieść *Focus* (Ogni-skowa), przedstawiającą uprzedzenia i represje antysemitki w pewnej wielkiej korporacji przemysłowej. Powieść ta zdobyła Millerowi pewien rozgłos, ale sławę zyskała dopiero jego sztuka *Synowie* (*All My Sons*, 1947), osnuta na tle wydarzeń związanych z tragiczną śmiercią lotnika, a demaskująca z pasją oskarżycielską korupcję zatruwającą amerykańskie życie gospodarcze i społeczne. Już te pierwsze utwory Millera zarysowały zarówno jego profil twórczy, jak i wskazały na zakres jego zainteresowań pisarskich. Ostre wyczucie dramatyzmu sytuacji życiowej człowieka słabszego, przegrywającego w pojedynku z silniejszymi i bezwzględniejszymi, jest stałym motywem przewijającym się w jego twórczości; motyw ten staje się też pretekstem do ukazywania w różnych przekrojach (także i historycznym) takich układów społecznych, które stosują przemoc wobec słabszej jednostki, ograniczają jej prawa i dławiają jej osobiste pragnienia i potrzeby. Pierwszym z serii wybitnych utworów Millera, wyrażających tę krytyczną myśl społeczną, była sztuka *Śmierć komiwojażera* (*The Death of a Salesman*, 1949), która zdobyła nagrodę Pulitzera i uznana została za klasyczne niejako dzieło amerykańskiego dramaturgii społecznej. Skontrastował w niej autor z niezwykłą sugestywnością i odwagą obiegowy ideał „sukcesu życiowego” z rzeczywistością amerykańską, skazującą słabszych na wyzysk przez bogatszych i silniejszych, a przy próbach buntu i wyrwania się ze społecznych nizin — na nieuchronną klęskę życiową. Postać komiwojażera, którego nadziejom, ambicjom i porywom życie zadało śmiertelny cios, stała się w literaturze amerykańskiej symbolem straconych złudzeń tzw. szarego człowieka co do kapitalistycznej rzeczywistości amerykańskiej, rzekomo dającej wszystkim równe prawa startu życiowego. Następną sztuką Millera o światowym rozgłosie, adaptowaną na ekran według scenariusza Sartre'a, były *Czarownice z Salem* (*The Crucible*, 1953). Dramat ten oparty na motywach historycznych (nawiażywał do głośnych procesów czarownic w purytańskiej Nowej Anglii), był metaforyczną rozprawą z mechanizmem zastraszenia i terroru, rozpętanych w Stanach Zjednoczonych w okresie maccarthyizmu. Sięgnął w nim Miller do korzeni moralnych i psychologicznych przedstawionych zjawisk, ujawniając nietolerancję i okrucieństwo w tępieniu odmiennych poglądów, myśli, odczuć i obyczajów, a także mistyfikowanie motywów i racji, na jakie powołuje się totalizm dla usankcjonowania swej

władzy. Sztuka ta stała się klasycznym w literaturze światowej utworem na temat „niewolenia umysłów ludzkich”. W 1955 wystawił Miller dramat psychologiczno-obyczajowy z życia włoskich środowisk imigracyjnych *Widok z mostu* (*A View From the Bridge*) oraz pokrewną jej charakterem artystycznym sztukę *A Memory of Two Mondays* (Wspomnienia dwóch poniedziałków). W 1957 ukazał się zbiór *Collected Plays* (Sztuki zebrane). Dwie następne sztuki Millera stały się znów wydarzeniami artystycznymi o zasięgu międzynarodowym. *Po upadku* (*After the Fall*, 1964) analizowała mechanizm zakończonego samobójstwem psychicznego kryzysu sławnej aktorki filmowej, której osobowość została gruntownie wypaczona i rozbita przez nienormalne warunki życia, jakie stwarza artystom amerykański przemysł widowiskowy. Odsłonił Miller korzenie pustki i jałowości amerykańskich środowisk artystycznych, nastawionych na pogoń za zyskiem i reklamowym sukcesem, a wytwarzających przy tym styl życia, promieniujący także na inne środowiska. W tym upatruje Miller jedną z przyczyn moralnych i psychicznych schorzeń dzisiejszego społeczeństwa amerykańskiego. Krytyka dopatrzyła się w tej sztuce oddźwięku tragicznego samobójstwa byleż żony Millera, Marilyn Monroe. Sztuka *Incident w Vichy* (*Incident at Vichy*, 1964) powraca do okresu hitlerowskiej eksterminacji rasowej, kreśląc typową sytuację z okresu okupacji niemieckiej we Francji; przypadkowe zbiorowisko ludzi zgromadzonych na dworcu czynnie solidaryzuje się z prześladowanymi, potępiając prześladowców i zdrajców. Do bogatej już literatury dramatycznej na temat „czasów pogardy” sztuka ta wniosła pewien nowy element, polegający na przesunięciu ciężaru zainteresowania z ludzi bezpośrednio poddanych represjom na tych, przeciwko którym nie są one zwrócone wprost, ale od których postawy i zachowania zależy w znacznym stopniu możliwość uratowania represjonowanych. Utwór ten, głosząc potrzebę i znaczenie solidarności międzyludzkiej, wywołał głębokie echa w wielu krajach. Ostatnią sztuką Millera jest *Cena* (*The Price*, 1968). W 1965 r. wybrany został na prezesa Międzynarodowej Federacji Penklubów, której przewodniczył do r. 1963.

W. S.

[Mały słownik pisarzy angielskich i amerykańskich, Warszawa 1971]

Arthur Miller

o swojej sztuce

Istnieje element tragedii, którego nie da się zdefiniować jednym słowem, a który ma pewien wpływ na styl. Ten właśnie element najsilniej, być może, zaważył na moim sposobie pisania i umocnił we mnie swego rodzaju determinację, bardzo charakterystyczną dla moich sztuk. Dla kogoś, kto chce dać odbicie rzeczywistości, jest rzeczą istotną wyjaśnić postępowanie człowieka, wyjaśnić dlaczego człowiek postępuje tak, a nie inaczej, dlaczego nie udało mu się postąpić inaczej, wreszcie dlaczego człowiek nie rzuca wszystkiego do diabła i nie odchodzi. Postawienie w sztuce tego rodzaju pytań jest przedsięwzięciem okrutnym, bowiem ewazja jest techniką chyba najbardziej rozwiniętą spośród tych, jakimi człowiek rozporządza i — prawdę mówiąc — niewiele jest konfliktów, które za wszelką cenę powinniśmy rozplątać. Postawienie tych pytań jest niemal jednoznaczne z narzuceniem nie tyle, być może, jakiegoś stylu, ile raczej rodzaju koncepcji dramatycznej. Myślę bowiem, że znaczenie symboliczne jakiejś postaci, czy jakiegoś życia, polega na rodzaju zaangażowania, na jaki decyduje lub nie decyduje się bohater; na wyzwaniu, które podejmuje lub nie. Myślę, że gdyby można było poznać dostatecznie istotę ludzką, dałoby się wyodrębnić u niej konflikty, wartości, wyzwania o mniejszym lub większym znaczeniu, jakich człowiek nie potrafi się w sobie doszukać, a przed którymi nie sposób umknąć. Struktura moich sztuk wymaga, by te konflikty zostały wydobyte i rozplątane. Moim zamierzeniem jest uogólnienie tego odkrycia w odniesieniu do postaci drugoplanowych, które obracają się wokół bohatera. Czas, postaci i inne elementy dramatyczne ujmowane są różnie, w zależności od sztuki; wszystkie one jednak zmierzają do tej samej konkluzji, do momentu świadomego wyboru, do momentu personalizacji człowieka, do momentu, kiedy na niebie usianym gwiazdami wybiera on swoją gwiazdę. Myślę, że im mniej człowiek jest zdolny oddalić się od centralnego konfliktu sztuki, tym bardziej nabiera rysów istoty tragicznej. Oznacza to, z drugiej strony, że im bardziej człowiek zbliża się do tragedii, tym bardziej intensywne stają się jego doznania w chwili, gdy zbliża się maksymalnie do tego, co w życiu zwykło się nazywać fanatyzmem.

Proces w Salem. Zanim ta sztuka nabrała ostatecznego kształtu, temat jej narzucił mi się w kontekście czysto dramaturgicznym i teatralnym. Z teatralnego punktu widzenia sztuka nakazywała widzowi zapomnieć, że ogląda widowisko, mimo iż rozsadzała granice długoletniej tradycji realistycznej. Umyślnie posłużyłem się techniką ekspresjonistyczną, po to jednakże, by dać obraz subiektywnej prawdy. Ekspresjonizm niemiecki z okresu po I wojnie światowej zawsze mnie pociągał, a jednocześnie odstręczał. Już w trakcie pracy nad *Śmiercią komiwojażera* przyświecała mi myśl posłużenia się wspaniałym ekspresjonistycznym



pisarstwem, tak sposobnym do oddania humanizmu postaci, bez oglądania się wszakże na cele dydaktyczne, jakie przyświecały Niemcom.

Takie były techniczne i dramaturgiczne przesłanki, które dały początek *Procesowi w Salem*, ale sam pomysł sztuki powstał z tego, co „wisiało w powietrzu”. O ile przyjęcie, z jakim spotkały się moje dwie poprzednie sztuki, ukazało mi świat w łagodniejszych kształtach i barwach, o tyle pewne wydarzenia z początku lat pięćdziesiątych dowiodły niezbie, że trwałem w złudzeniach. Wstrząsnęły mną nie tylko wybryki maccarthyizmu, lecz nadto coś, co wydawało mi się dziwne i tajemnicze: fakt, że kampania polityczna prowadzona świadomie i za pomocą obiektywnych środków może nie tylko zrodzić terror, lecz dać początek nowej, subiektywnej rzeczywistości, dosłownie mistyce, która z biegiem czasu nabiera charakteru rzeczy uświęconej. Wstrząsnął mną ten niewiarygodny fakt, że sprawy tak prozaiczne i małostkowe, głoszone przez ludzi zgola śmiesznych, mogły sparaliżować proces myślenia, a co gorsze — nagromadzić w sercach ludzkich takie mnóstwo zagadkowych uczuć. Ze zdumieniem patrzyłem na ludzi, których znałem od lat, a którzy mijali mnie bez pozdrowienia. Rosła we mnie pewność, że ktoś świadomie budzi i podsycia strach tych ludzi. Było dla mnie rzeczą niepojętą, że uczucie tak głębokie i tak subiektywne mogło być zaszczipione z zewnątrz. Te właśnie sprawy ożywają w każdym słowie tekstu *Procesu w Salem*.

Zadawałem sobie z początku pytanie, czy strach ten znajduje pożywkę w instynkcie samozachowawczym, w oportunizmie, bądź też w obawie przed wyobcowaniem ze społeczności. Ludzie, którzy mieli dalekie tylko koneksje z lewicą, bali się na równi z tymi, którzy byli bezpośrednio zaangażowani. Znałem człowieka, który wezwany przed oblicze swego przełożonego tłumaczył mu, że cokolwiek by o nim powiedziano, nigdy nie miał kontaktów z ugrupowaniami lewicowymi. To właśnie obróciło się w zarzut: nie mógł bowiem złożyć żadnego zeznania. Zwolniony z pracy, człowiek ten w ciągu przeszło roku bał się wyjść z domu.

Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że sprawa ta, podobnie jak inne formy uległości społecznej, bierze się z poczucia winy, którą jednostka pragnie ukryć, podporządkowując się ślepo nakazom. W tym konkretnym przypadku wina polegała na tym, że ludzie nie czuli się tak prawomyślni, jak powinni byli być; że obcy był im ton publicznych deklaracji i że można było na dobrą sprawę doszukać się w ich postępowaniu cech wywrotowych. Wyczuwało się narastającą falę nowej religijności, której wyrazem było nie tylko wznoszenie nowych kościołów i frekwencja na nabożeństwach, lecz coś w rodzaju oficjalnej pobożności; nie mogłem jej żadną miarą pogodzić ze znanymi w historii Stanów Zjednoczonych licznymi wypadkami obrazoburstwa. Obserwowałem tworzenie się czegoś w rodzaju wewnętrznego mechanizmu wyznania i przebaczenia grzechów, czego nie było poprzednio. Lansowano nawet teorię, że sumienie nie jest sprawą osobistą, lecz wytworem administracji państwowej.

Zamierzałem wówczas napisać sztukę zjadliwą, która ukazałaby ten krętacki, wypracowany w szczegółach i jedyny w swoim rodzaju pro-



ces, w którego rezultacie grzech strachu kolektywnego zabija sumienie człowieka, czyli jego samego. Nie była to idea obca temu, co wypełniało moje poprzednie sztuki. *Procesowi w Salem* towarzyszył jednak wysiłek zmierzający do wyjścia poza ukazanie małego wycinka rzeczywistości i ujawnienie winy bohatera, tej winy, która zabija osobowość człowieka. Ta idea świtała mi i nabierała coraz pełniejszych kształtów już przy pisaniu sztuk poprzednich. Tym razem jednak nabrałem pewności, że nie wolno mi nadal konstruować sztuk, których ostatecznym celem jest ujawnienie winy, ani też zadowolić się ukazaniem losu, który zmusza winnego do zadośćuczynienia. Wina przestała być dla mnie tą warstwą ostateczną, na której kończy się działalność śledcza. Zacząłem natomiast dopatrywać się w niej najbardziej realnej spośród naszych iluzji, możliwej jednak do ujęcia w karby.

O polowaniu na czarownice w Salem słyszałem długo przed nastaniem maccarthyizmu. Cała ta sprawa była dla mnie niewyjaśnioną zagadką. Kiedy jednak przyjrzałem się jej z bliska, z perspektywy wydarzeń współczesnych, doszedłem do wniosku, że z punktu widzenia naszej epoki najbardziej znamienna jest tu tajemnica sumienia. Człowiek znajduje zawsze to, czego szuka, i sądzę, że nigdy bym się nie narażał na przedśmiertny lęk pisząc tę sztukę, gdybym nie stanął w obliczu następującego faktu: Abigail Williams, która dała początek zbiorowej histerii w Salem, była swego czasu służącą u Proctorów, a następnie oskarżyła Elisabeth Proctor o czary. Odmówiła wszakże — mimo nacisku prokuratora — zeznać obciążających Johna Proctora. Zastanowiło mnie to i zbadałem tę sprawę w aktach procesu. Nie znalazłem tam drugiego wypadku tak upartej i świadomej odmowy oskarżenia.

Zeznania Proctora niewiele zawierają szczegółów, podobnie zresztą jak zeznania jego żony. Powody, dla których został on uwięziony, a następnie powieszony — mogły być liczne; trudno dziś dociec. Po premierze sztuki otrzymałem kilka listów od potomków Proctora. Jeden z nich pisał, że Proctor padł ofiarą podejrzeń, bowiem przez kilka lat konstruował maszyny tak zmyślne, że wielu ludzi upatrywało w nich coś diabelskiego. Fama głosiła, że pracował nad nimi — i to jeszcze przed wypadkami w Salem — w tajemnicy, w obawie przed kompromitacją lub jeszcze groźniejszymi konsekwencjami. Ta hipoteza nie tłumaczy wszystkiego, potwierdza jednak zawarte również w dokumentach twierdzenie, że Proctor był człowiekiem o szerokim umyśle. Był jednym z tych nielicznych, którzy w imię rozsądku odrzucali oskarżenia o utrzymywanie stosunków ze złymi duchami, widząc w tym wyssaną z palca plotkę i podstępnie uknutą intrygę. Tymczasem większość ofiar w Salem wierzyła w istnienie demona, spiskującego w celu objęcia panowania nad światem, wymawiając się jedynie od jakiegokolwiek udziału w tym spisku.

Punktem wyjścia dramatu była postawa Abigail, służącej-oskarżicielki, która wyraźnie zmierzała do pogrążenia Elisabeth i uratowania Johna. Zagadnieniem istotnym okazało się rozwiązanie scen masowych. Wydawało mi się z początku, że można tu się posłużyć techniką impresjonistów i za pomocą mozaiki scen, pozornie pozbawionych związku,



zmontować jakiś łańcuch przyczyn i skutków. Takie rozwiązanie byłoby stosowne, gdyby w centrum sztuki znalazł się problem społeczny, nie zaś problem psychologiczny, tzn. zagadnienie poczucia winy, jakie ogarnęło mieszkańców Salem, znajdując swobodne ujęcie w zbiorowej historii. Struktura sztuki odzwierciedla ten punkt widzenia i stawia postaci Johna, Elizabeth i Abigail na pierwszym planie.

Niektórzy krytycy zarzucali sztuce, że występujący w niej oskarżyciele postępują w sposób jawnie złośliwy. Rozumiem ich obiekcje i nie próbuję się usprawiedliwiać, bowiem fakty historyczne mają swoją wymowę. Protokoły rozpraw i liczne komentarze wykazują niezbięcie, że zarówno sędziowie jak i oskarżyciele stracili wszelki umiar. Wnikliwe studium dokumentów ukazało mi, do jakiej perfekcji w złem doszli ci ludzie. Jak przez sen pamiętam wypadek Rebeki Nurse, starej, schorowanej, pobożnej i powszechnie szanowanej kobiety, którą wywleczono z łóżka i poddano przesłuchaniom. Słabość budziła wściekłość prokuratorów. Czepiano się nieraz rzeczy wręcz śmiesznych. Nie brak było w tym wszystkim zaskakującego nas sadyzmu.

Napróżno szukałem w tej epoce koncepcji człowieka, która mieściłaby jakoś w sobie taką sumę zła. Znany był np. wypadek rodziny Putnam, której członkowie potajemnie kontaktowali się z młodymi dziewczynami po to, by wskazać im osoby, na które należałoby zrobić donos. Mam i zawsze mieć będę przed oczami postać słynnego pastora Cottona Mathera, ideologicznego przywódcy oskarżycieli, rozpędzającego pod szubienicą tłumy wieśniaków, pragnących uwolnić nieszczęśliwe ofiary.

Nietrudno było przewidzieć obiekcje, jakie budzą istoty do głębi przeżarte złem. Jesteśmy w gruncie rzeczy skłonni wierzyć, że one nie istniały i nie mogły istnieć. Gdybym miał tę sztukę napisać dzisiaj — napisałbym ją inaczej. Sądzę, że moja, a zarazem krytyków niewiara w takie nagromadzenie zła jest nieodłączna od naszej niewiary w dobro.

Wierzę dziś w to, czego nie pojmowałem dawniej: że istnieją ludzie oddani złu, i że bez przekonania się o ich przewrotności nie zdołalibyśmy poznać dobra. Zło nie jest przypadkową pomyłką, lecz faktem samym w sobie. Nie postępowałem nigdy w myśl zasad psychoanalizy, nie była mi jednak obca humanitarna koncepcja człowieka, w myśl której człowiek jest istotą dobrą, a zło stanowi u niego tylko zboczenie, wynikające z zawiedzionej miłości. Nie akceptuję istnienia metafizycznej siły zła, ogarniającej człowieka bez reszty. Nie neguję też, że człowiek obdarzony mądrością i cierpliwością może ratować się przed samym sobą. Wydaje mi się tylko, że nawet ludzie na pozór normalni i przyjemni mogą poddać się złu z pełną świadomością swego wyboru, mogą je nawet lubić. Nabrałem pewności, że jedną z ukrytych słabości naszych psychologicznych rozwiązań w teatrze jest niezdolność pojęcia tego faktu.

Proces w Salem to sztuka surowa, a mimo to skłonny jestem twierdzić, że jest niedostatecznie surowa, i to nie tylko z punktu widzenia dokumentacji historycznej, lecz również dramaturgii. Tak dalece zależy nam na obudzeniu współczucia dla naszych postaci, że konsekwencje zła łagodzimy sentymentalizmem ubranym w pozory sądu nad przycy-



nami tego zła. Zagadnienia filozoficzno-moralne usuwają zło na plan dalszy.

Mieszkańcy Salem namiętnie dyskutowali o kwestiach moralności. Uznawali pewne zasady, według których starali się żyć i umierać. Kwestie wiary i zasad postępowania wdzierały się w ich życie prywatne i byli tego świadomi. Wystarczała dezaprobata, by popaść w podejrzenia. Pociągał mnie ten temat, ponieważ wydawało mi się, że moment historyczny pozwoli w tym wypadku na tworzenie postaci bardziej świadomych, niż to miałyby miejsce w sztuce o tematyce par excellence współczesnej. W *Śmierci komiwojażera* badałem obszar podświadomości, tym razem natomiast chciałem z bliska podpatrzeć bohatera w pełni zdającego sobie sprawę z swoich czynów.

[Przedmowa do wydania dramatów
Millera, wyd. Robert Lafont. Cyt. za:
„Dialog” nr 12, 1959]

Proces w Salem— historia autentyczna

W więzieniach siedziało jeszcze około stu pięćdziesięciu obwinionych, kiedy wielkie polowanie na czarownice w Massachusetts, rozpoczęte w lutym 1692 r., zostało nagle — po upływie niecałego roku zahamowane. Pięćdziesiąt pięć osób aresztowanych przyznało się już do przysięgi z mocami piekieł. Sąd ledwie sobie radził z potokiem oskarżeń. Skazał dotychczas na śmierć dwadzieścia sześć kobiet i sześciu mężczyzn, z tego dziewiętnaście osób zawisło już na szubienicy, dwie zmarły w więzieniu, jeden mężczyzna wyzionął ducha na torturach, przyniesiony ciężarem.

Ogniskiem obłędu była wieś Salem. Liczyła nie więcej niż setkę domostw, tworzyła jednak odrębną gminę. Tutaj też toczył się sąd nad czarownicami.

Proces ten, jego przebieg i finał różnił się znacznie od wszystkich procesów czarownic na świecie. Różniła go od nich nie tyle skala i zasięg, co przede wszystkim nowa obłędna idea, która leżała u jego podstaw.

Były to dla osadników purytańskich w Massachusetts czasy pełne trwogi i niepokoju. Toczyli oni, podobnie jak inni koloniści na ziemiach Nowego Świata, trudną walkę o byt. Dotkliwie dawały im się we znaki nieurodzaje, szerzyły się epidemie ospy, powodujące liczne wypadki śmierci, i wciąż zagrażały im napady wrogich plemion indiańskich. Osadników cechowała fanatyczna żarliwość religijna i nietolerancja w stosunku do wyznawców innych idei religijnych. Pod wpływem ciężkich warunków bytu, licznych trosk i strapień wielu kolonistów opanowała nieodparcie myśl, że szatan zawział się specjalnie na ich pobożną, prawowierną wspólnotę, ponieważ oni, bogobojni osadnicy, osiedlając się w Massachusetts pozbawili szatana władzy, jaką w sposób nieograniczony sprawował dawniej nad tym obszarem. Utrzymywali oni, że szatanowi szczególnie na tym zależało, by wkraść się podstępem do ich pobożnej wspólnoty i pozyskać w niej sobie skrycie sprzymierzeńców. Tymi tajemniczymi sojusznikami diabła byli czarownicy i czarownice, którzy się sprzyślegli, że przywrócą w Massachusetts królestwo szatana. Sędziowie tak byli z tą myślą zżyci, że przewijała się ona nieustannie w pytaniach, jakie zadawali oskarżonym, szukając potwierdzenia jej w ich zeznaniach. Wieszano tylko kobiety i mężczyzn, którzy wytrwale wzbraniaли się przyznać, że są winni występku czarostwa. Była to jedna z osobliwości procesu w Salem.

Horda opętanych dziewcząt, które wystąpiły w roli oskarżycielek i świadków oskarżenia, liczyła piętnaścioro dzieci i młodocianych od jedenastu do dwudziestu lat, a wszystko zaczęło się od małej dziewięcioletniej dziewczynki, córki duchownego SAMUELA PARRISA. Parris żył w niezgodzie ze swoją gminą. Handryczył się wciąż o wysokość



poborów i o zasiłki, które mu się zdaniem jego należały, a których odmawiali mu uparcie skąpi parafianie. Miał za sobą burzliwą przeszłość. Studiów swoich nie doprowadził do końca, próbował szczęścia na wyspie Barbados jako kupiec, ale bez powodzenia. Przywiózł stamtąd niewolnicę, Murzynkę imieniem Tituba.

Niewolnica TITUBA była poczciwym, dobrodusznym stworzeniem, pełnym serdecznej tliwości dla dzieci. Pupilką jej była mała BETTY, córeczka Parrisa. Betty lubiła przychodzić do Tituby i przesiadywać w przestronnej kuchni. Przeważnie towarzyszyła jej ABIGAIL WILLIAMS, siostrzenica kaznodziei, która wychowywała się w jego domu. Tituba umiała cudownie opowiadać. Gospodarz i jego żona zajęci swoimi obowiązkami, nie interesowali się tym, co działo się w kuchni. Nie wiedzieli, że zbiera się tam grono dziewcząt słuchających w napięciu, z wypiekami na twarzy, gawęd Murzynki obdarzonej bujną fantazją. Dla dziewcząt te wieczory były ekscytującą rozrywką w ich surowym, monotonnym życiu. Dostarczały podnieci już choćby dlatego, że miały posmak zakazanego owocu. Wprawdzie wolno było córkom i służącym prawowiernych rodzin purytańskich odwiedzać plebanię, ale z pewnością nie dla cześci i niezbożnej rozrywki, jakiej dostarczała im niewolnica Tituba.

Najmłodsza w tym gronie, córeczka plebana Betty nie wytrzymała napięcia psychicznego. Wystąpiły u niej zaburzenia świadomości, a niebawem zaczęła także dostawać ataków konwulsji. Udzieliły się one również Abigail. Samuel Parris sprowadził lekarza, doktora Williama Griggsa. Ale środki, jakie lekarz zalecił, zawiodły. Nie mógł on stwierdzić żadnej dolegliwości i dlatego doszedł do przekonania, że dziewczynkom zadano czary. Pozostałe słuchaczki Tituby zaczęły zdradzać podobne objawy: wily się w drgawkach, bełkotały niezrozumiałe słowa, zapadały w stan odrętwienia, albo wrzeszczały i miały się jak szalone.

W bełkocie i pojękiwaniach małej Betty można było teraz posłyszeć imię Tituby. Kiedy dowiedziały się o tym inne dziewczęta, rozwiązały się im nagle języki. Wymieniły Murzynkę i jeszcze inne dwie kobiety, nie ciesząc się w gminie dobrą sławą, jako sprawczynie ich niedoli. Wszystkie trzy kobiety aresztowano i postawiono w stan oskarżenia.

Rozprawa sądowa odbywała się w kościele wiejskim. Gęsty tłum wypełnił wnętrze kościelne do ostatniego miejsca. Sądowi przewodniczył sędzia JOHN HATHORNE z miasta Salem. Rozprawę główną, w której przysięgli mieli rozstrzygnąć o życiu lub śmierci oskarżonych, poprzedzała publiczna rozprawa dowodowa. Wpływ decydujący na obu rozprawach miały wszakże opętane dziewczęta. Ich konwulsje i wrzaski miały poświadczać, że oskarżone uprawiały czary.

[Tituba] potwierdziła wszystko, czego od niej żądano. Przez trzy dni z rzędu odpowiadała z niesłabnącą inwencją na wszystkie pytania. Przyznała się, że latała na sabaty czarownic. Zeznań jej słuchano z nabożeństwem połączonym ze zgrozą. Sąd był jej wręcz wdzięczny za otwartość i odwagę, z jaką odślaniała podstępny diabła i niebezpieczne spiski diabelskie, toteż traktowano ją wyrozumiale i łagodnie. Wraz z obiema współoskarżonymi kobietami została przewieziona do więzienia w Bostonie.



Sara Good była jedną z pierwszych, na które sąd przysięgłych wydał wyrok śmierci, a że nie dała się nakłonić do wyznania winy, zawisała na szubienicy. Czarownica Tituba, jako że się do win niepopelnionych przyznała, pozostała przy życiu.

Opętane dziewczęta stawały się w swoim szaleństwie coraz bardziej złośliwe. Obrały sobie teraz za cel ataków kobiety i mężczyzn, którzy cieszyli się w gminie powszechnym szacunkiem, zwłaszcza zaś osoby, które nie kryły się z tym, że nie wierzą w całą tę historię o diablach, czarach i czarownicach. Jako szczególnie złośliwe i niebezpieczne delatorki wyróżniały się dwie najmłodsze dziewczynki, Abigail Williams i Anna Putnam, na którą zły wpływ wywierała matka, kobieta swarliwa i niesłychanie podejrzliwa, przepełniona nienawiścią do ludzi. Wystarczyło, by dwie trzy dziewczyny wymieniły nazwisko jakiejś osoby lub określiły jej wygląd, a osobę tę niezwłocznie wtrącano do aresztu i stawiano przed sądem. Nie dochodziło jednak nigdy do normalnej rozprawy, lecz rozpętywał się istny sabat czarownic. Sędzia przewodniczący wzywał oskarżoną, żeby się wytłumaczyła, dlaczego dręczy tak okrutnie dziewczęta, i to nawet w tej chwili, w obecności sędziów. Dziewczęta bowiem na widok oskarżonej dostawały drgawek, wyły z bólu, krzycząc, że są klute szpilkami, demonstrowały draśnięcia i skaleczenia, naśladowały niczym automaty wszystkie ruchy oskarżonej, jej sposób trzymania głowy, pozycję nóg, okazując w ten sposób, że są całkowicie we władzy oskarżonej, w niepojętej władzy jej widma. Chórem przedrzeźniały jej słowa. A pośród tego ta lub inna dziewczyna wykrzykiwała przeraźliwie raz po raz, że widzi, jak oskarżona znęca się nad nią, jak ją dręczy.

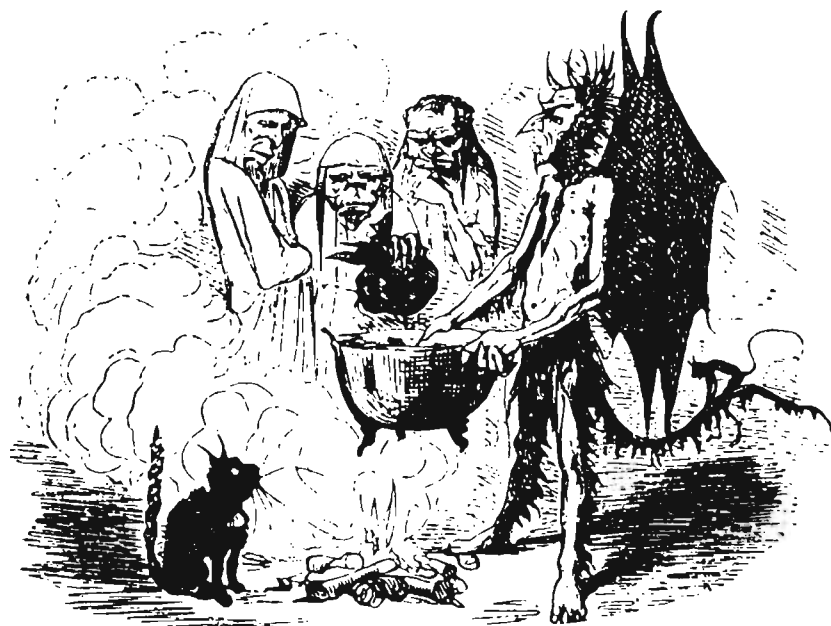
Nie mógł tego zobaczyć — rzecz prosta — żaden sędzia ani żaden inny normalny człowiek. Trzeźwi obserwatorzy zauważyli, że chore po takim napadzie nie były wcale wyczerpane i blade, lecz spały spokojnym, zdrowym snem i budziły się rześkie. Jedynie mała Betty nie przychodziła tak prędko do siebie, mizerniała i zawodziła chwilami, że sama jest czarownicą jak Tituba.

Horda opętanych dziewcząt była nieubлагana. Zaślepieni sędziowie odrzucali wszelkie głosy sprzeciwu w stosunku do werdyktu jasnowidzących dziewcząt.

Zaczarowane dziewczęta w Salem nie przejawiały w toku procesu najmniejszych wyrzutów sumienia. Przyglądały się obojętnie egzekucjom niewinnych ludzi, których przywiodły do zguby. Wyjątek stanowiły dwie najstarsze, dwudziestoletnie dziewczyny. Jedna z nich, MARY WARREN, pracowała jako służąca w gospodarstwie JOHN PROCTORA.

Proctor wypowiedział się bez ogródek, że dziewczęta należy wychłostać; jeżeli się im tak dalej będzie popuszczać, wówczas „wszyscy okazemy się diablami i czarownicami”.

Horda, jak to było do przewidzenia, zemściła się na niebezpiecznym przeciwniku. Najpierw pomówiła jego żonę, ELŻBIETĘ PROCTOR, że jest czarownicą. Najgłośniej krzyczała mała Abigail. Tego samego dnia wywieziono małżonków Proctor wraz z innymi oskarżonymi do więzienia



w Bostonie. Szeryf Salemu nie czekał na wyrok, lecz niezwłocznie wtargnął do zagrody Proctorów i skonfiskował cały majątek ruchomy. W opustoszałym domu pozostała służąca Mary z pięciorgiem małych dzieci. Dręczona wyrzutami sumienia zaczęła chodzić po ludziach i wyznawać, że całe to opętanie polega na udawaniu. Opętana horda okrzyczała niewierną Mary za czarownicę. Mary Warren postawiono w stan oskarżenia. Sędzia HATHORNE skonfrontował ją z rozwrzeszczanymi i miotającymi się dziewczętami. Nie czuła się na siłach stawić czoła tej zbiorowej napaści. Zaczęła — jak nieraz przedtem — wić się w konwulsjach wraz z całą gromadą oskarżycielek. Zaczęły ją dręczyć widma i duchy, podobnie jak pozostałe dziewczęta. Przyjęto ją też skwapliwie z powrotem do hordy.

Nie zrobiła (na sędziach) żadnego wrażenia petycja opatrzona dwudziestoma pięcioma podpisami, w której wierni przyjaciele i sąsiedzi zapewniali, że znają Johna Proctora jako uczciwego człowieka, niezdolnego do popełnienia jakichkolwiek występków. Rozprawa przed sądem przysięgłych, na którą małżonków Proctor sprowadzono z powrotem do Salemu, przebiegała w tradycyjnych formach procesu czarownic. Oboje małżonków skazano na śmierć. Elżbieta Proctor spodziewała się dziecka, wobec czego egzekucję jej odroczone. John Proctor, który odrzucił ze wzgardą wszystkie namowy i nie dał się nakłonić do kłamliwego przyznania się do winy, został powieszony w dniu 19 sierpnia 1692 r. Za szubienicę posłużył rozłożysty dąb na skraju wsi. Zdarzyło się również, że i przysięgli w przypływie poczucia sprawiedliwości usiłovali pewnego razu ocalić kobietę. Oskarżona była siedemdziesięcioletnia REBEKA NURSE, ciesząca się w całej gminie wielkim szacunkiem. Do sądu wpłynęła petycja podpisana przez dwudziestu kilku poważnych obywateli, którzy zapewniali, że oskarżona jest osobą bogobojną i nieposzlakowaną. Świadczyło to o ich odwadze, gdyż rozbestwione dziewczęta mogły z łatwością wywiedzieć się nazwisk podpisanych i okrzyknąć ich za wspólników diabła. [Z oskarżeń] wynikało, że Rebeka Nurse zamordowała za pomocą czarów sześcioro dzieci. Jedynym dowodem, na który powoływali się bez przerwy oskarżyciele, było widmo staruszki i składane przez nie oświadczenia. Następnie wysłuchiwali przysięgli krótkiej obrony oskarżonej, która ze spokojem i godnością wykazała całą absurdalność oskarżenia, po czym udali się na naradę. Werdykt ich był zgodny; oskarżona nie jest winna zarzucanych jej czynów.

Na sali sądowej rozpętało się istne piekło. Opętane dziewczęta rzeziły wydając chrapliwe jęki, wiły się i miotały, jakby cierpiały straszliwe męki, albo zastygały wstrząsane śmiertelnymi — zdawać się mogło — drgawkami. To niewinniona przed chwilą czarownica zadawała im czary śmiertelne na oczach przysięgłych i sędziów.

Przysięgłym nie pozostało więc nic innego, jak uznać winę oskarżonej za dowiedzioną. Rebeka Nurse wraz z czterema innymi niewiastami zawisła na szubienicy.

Stary GILES COREY oskarżony o czary, wiedział, że scheda po nim nie może ulec konfiskacie, jeżeli nie zostanie skazany pod zarzutem czarostwa. Odmawiał więc wszelkich zeznań, by nie dopuścić w ten



sposób do rozprawy głównej, na której zostałby skazany. Sędziowie mogli go pytać, mogli mu grozić, nie odpowiadał. Prawo angielskie dopuszczało brutalne wymuszanie zeznań jedynie w procesach o zdradę stanu. Postępowanie takie stosowano w bardzo rzadkich tylko wypadkach, przy czym chodziło o to, żeby zmusić opornego świadka do mówienia, lecz nie o to, żeby go uśmiercić. Postępowanie takie zastosowano w stosunku do Gilesa Corey. Na polu za murem więziennym szeryf Felsbrocker kładł ciężary na jego piersi, dokładając ich coraz więcej, aż dech oskarżonemu zapało. Mimo to nie udało się wydobyć ze starca ani jednego słowa. Raz tylko dał się z ust jego posłyszeć zdławiony szept: „Dołóż więcej”. Aż wreszcie wyzionął ducha przygnieciony ciężarem.

Na jesieni 1692 r. nie można było jeszcze przewidzieć, jak potoczą się dalsze wypadki, kiedy i jak skończy się obłądna obsesja, która ogarnęła Massachusetts. Obsesję tę pogłębiali jeszcze sędziowie, uczeni i doświadczeni prawnicy. Nie widzieli oni innego wyjścia, jak tylko brnąć dalej drogą krzywd i bezprawia. Mylą się ci, którzy, jak to czynią autorzy niektórych powieści, chcą tłumaczyć absurdalne postępowanie sądu czarownic w Salem wyłącznie tym, że ludność miejscowa rekrutowała się z „ciemniaków”, nieoświeconych osadników żyjących w zupełnej izolacji na dzikim pustkowiu, którego nie tknęła jeszcze prawie cywilizacja. Odpowiedzialni za procesy byli ludzie, którzy swą wiedzą i znajomością świata górowali znacznie nad przeciętnym poziomem ludności. A duszpasterze, którzy uczestniczyli w procesach czarownic, nie tylko że nie uchronili ich pobożnej gminy od grzechu, lecz sami ją właściwie do grzechu popchnęli. Jeden Samuel Parris mógł wyrządzić więcej szkody, niż mogli potem naprawić wszyscy pełni dobrej woli, lecz powściągliwi duchowni.

Naprawa krzywd, do których popełnienia przyznawano się ze skrucą, przebiegała nie bez trudności i zahamowań. Przeciągnęła się nawet do naszych czasów. W 1957 r. unieważnione zostały jako sprzeczne z prawem wszystkie bez wyjątku wyroki wydane swego czasu w Salem. Miasto Salem, które już dawno wchłonęło wieś Salem i liczy dziś około czterdziestu tysięcy mieszkańców, jest celem licznych wycieczek. Odwiedza je rokrocznie blisko dwieście tysięcy turystów. Przyciąga ich tam zabytkowa dzielnica staromiejska z uroczymi domkami w stylu kolonialnym, a jeszcze bardziej — jak się wyraził na posiedzeniu senatu stanowego jeden z mówców — awanturnicza przeszłość tego „miasta czarownic”.

[Fragmenty książki K. Baschwitz
Czarownice, dzieje procesów o czary,
Warszawa 1971]



»Na początku było słowo«

W wypadku gdy idzie o historię ludzkości to stwierdzenie jest prawdą oczywistą. Język jest narzędziem, dzięki któremu człowiek wyszedł ze świata zwierzęcego, i język jest przyczyną człowieczego odstępstwa od naturalnej prostoty i harmonii na rzecz szaleństwa i diabolizmu. Słowa są jednocześnie niezbędne i zgubne. Traktowane jako hipotezy robocze, propozycje na temat świata, są narzędziem, które umożliwia nam ten świat zrozumieć. Traktowane jako prawdy absolutne, jako dogmaty, idee, które należy czcić — wypaczają nasze widzenie rzeczywistości.

„Pragnąc zwabić ślepców — mówi Dai-o Kokuszi — Budda pozwolił słowom ulecieć z jego złotych ust. Od tej pory niebo i ziemia pełne były zwodniczych cierni. A ciernie to przecież nie tylko dalekowschodni produkt. Jeżeli Chrystus zstąpił na ziemię nie po to, aby zesłać pokój na ziemię, lecz miecz, to stało się tak dlatego, że On i Jego następcy nie mieli innego wyboru jak tylko zawrzeć ich spostrzeżenia w słowa. I tak jak wszystkie inne słowa, słowa Chrystusowe były czasami nieadekwatne, czasami zbyt uogólniające, a zawsze nieprecyzyjne — a więc podlegające interpretacji na wszystkie możliwe sposoby. Traktowane jako hipotezy — jako pożyteczne ramy, wewnątrz których można uporządkować i do których można odnieść pewne fakty dotyczące ludzkiego bytu — stanowią ogromną wartość. Traktowane jako dogmaty i idee stawały się przyczyną tak ogromnego zła, jakim była teologiczna nienawiść, wojny religijne, eklezjastyczny imperializm.

* * *

Moralisci uporczywie przypominają nam o obowiązku kontrolowania własnych namiętności i oczywiście mają zupełną rację. Niestety jednak składa, że większość z nich zapomina o nie mniej ważnym obowiązku kontrolowania słów i opartego na nich rozumowania. Zbrodnie namiętności powoduje gorączka krwi, a tylko krew chwilami może być gorąca. Ale słowa są zawsze z nami, a słowa są naładowane siłą sugestii wystarczająco potężną, aby usprawiedliwić wiarę w zaklęcia i magiczne formuły. O wiele bardziej niebezpieczne od zbrodni namiętności są zbrodnie idealizmu — zbrodnie, które są podżegane, pielęgnowane i usprawiedliwiane uświęconymi słowami. Puls jest normalny, gdy takie zbrodnie są planowane. Popołnia się je z zimną krwią i z niezachwianą wytrwałością na przestrzeni wielu lat. Kiedyś słowa, które dyktowały zbrodnie idealizmu, były w przeważającej mierze religijne; teraz są one zazwyczaj polityczne. Dogmaty przestały być metafizyczne, a stały się materialne i ideologiczne. Nie uległ zmianie jedynie bałwochwalczy zabobon tych, którzy karmią się dogmatami, i metodyczne szaleństwo, diaboliczne okrucieństwo, z jakim realizują zasady swojej wiary.

* * *

Kramer i Sprenger, uczeni dominikanie, autorzy „Malleus Malefica-



rum” (przez prawie dwa wieki podręcznik i vade mecum wszystkich łowców czarownic) cytują wiele autorytetów, aby udowodnić, że śmierć jest jedyną słuszną karą za uprawianie czarów, wróżbiarstwo i praktykowanie różnych sztuk magicznych. „Uprawianie czarów to zdrada wobec majestatu Boga. Poddać więc należy wszystkich oskarżonych wszelkim torturom, aby wszystko wyznali. Każdy podejrzany o czary, niezależnie od pochodzenia i stanowiska, winien być torturowany. A tego, kto okaże się winnym, nawet gdy sam przyzna się do winy, należy zniszczyć przy pomocy najsroźszych tortur przez prawo przypisanych, tak aby kara była w proporcji do winy”.

Ża prawem tym stała odwieczna wiara w interwencje sił nadprzyrodzonych w sprawy ludzkie, dokładniej — w objawione prawdy, mówiące, że diabeł jest Księciem tego świata i zaprzysięgłym wrogiem Boga i jego dzieciątek. Czasem diabeł działa bezpośrednio, na własny rachunek, a czasami przy pomocy istot ludzkich. „I gdy zadamy sobie pytanie, czy więcej diabeł wyrządza krzywd ludziom i wszelkiemu stworzeniu, gdy działa sam czy też przez czarownice, można odpowiedzieć, że nie ma porównania między tymi dwoma przypadkami, gdyż nieskończenie więcej szkody i krzywdy wyrządza on za pośrednictwem czarownic. Po pierwsze dlatego, że obraża Boga przywłaszczając sobie stworzenie Bogu przypisane. Po drugie — zagniewany Bóg odsuwa się od człowieka i w ten sposób zezwala szatanowi na czynienie jeszcze większych krzywd. I po trzecie, dla własnej korzyści szatan zyskuje nowe dusze skazane na wieczne potępienie”.

Sytuacje czarownic i ich klientów w średniowiecznym i późniejszym chrześcijaństwie były prawie dokładnie analogiczne do sytuacji Żydów za Hitlera, komunistów i ich zwolenników w Stanach Zjednoczonych.



Uważano ich za agentów wrogiej siły — w najlepszym przypadku potępiano ich za niepatriotyczną postawę, a w najgorszym — miano za zdrajców, heretyków, wrogów narodu. W współczesnym świecie śmierć jest karą, która teraz grozi politycznym i świeckim czcicielom diabła znanego na przykład pod hasłem „czerwoni”. Widzimy teraz, że całe zło, które przyniosła tak pojęta religia, może kwitnąć nadal bez żadnej wiary w siły nadprzyrodzone; że niektórzy czczą swoje niemrawe filozofie jakby były Absolutem, a że samowolczy humaniści będą prześladować swoich przeciwników z całą gorliwością Inkwizytorów trzebiących zwolenników Szatana. Te wzory zachowań wyprzedzają i żyją o wiele dłużej niż wierzenia, które w danym momencie historii je stworzyły. Mało ludzi wierzy dzisiaj w Szatana, ale wielu zachowuje się tak, jak ich przodkowie w czasach gdy Szatan był rzeczywistością tak niezaprzeczalną jak Bóg. Aby usprawiedliwić swoje zachowania, obracają oni swoje teorie w dogmaty, swoje lokalne prawa w Pierwsze Zasady, swoich wodzów w Bogów, a wszystkich tych, którzy mają odwagę im zaprzeczyć — we wcielonych diabłów. To transformacja względności w absolut i tego co aż nazbyt ludzkie — w święte umożliwia im folgowanie najgorszym namiętnościom własnym z czystym sumieniem i przeświadczeniem, że działają w imię Najwyższego Dobra. A kiedy aktualna wiara wyda im się z kolei niewłaściwa, wręcz głupia — wynajdą nową na jej miejsce; i tak odwieczne szaleństwo ludzkości może dalej działać pod maską praworządności, w imię ideałów i prawdziwej wiary.

* * *

W świecie, gdzie prawo, teologia i zabobony zgadzały się w jednym: że czarownice i heretycy byli odpowiedzialni za wszystkie klęski i niepowodzenia, w takim świecie istniały niezliczone okazje i powody do szpiegowania, donoszenia i ścigania wrogów.

Pod torturą, lub z poczucia obowiązku, mężczyzna zdradzał swoją żonę, kobieta swych najlepszych przyjaciół, dziecko swoich rodziców, sługa swego pana.

Z wyznań Matki Joanny od Aniołów

„Nigdy wcześniej nie dawałam wiary, aby diabeł mógł wstąpić w kogoś lub zawrzeć z nim pakt nie otrzymawszy uprzednio na to jego zgody. Okazuje się, że myliłam się, gdyż nawet najniewinniejsi, najświętsi mogą zostać opętani. Przyznaję, że ja sama nie byłam niewinna. Tysiące, setki tysięcy oddawałam duszę diabłu, gdy grzeszyłam i tym stawiałam opór łasce, jaka miała na mnie spłynąć... Demony wkładały się do mojej duszy i moich uczynków, tak że poprzez grzeszne usposobienie, które znalazły we mnie, uczyniły mnie jednaką z nimi substancją. Zazwyczaj demony działały w zgodzie z uczuciami, które nosiłam w swojej duszy, a czyniły to tak subtelnie, że mnie samej nie sposób było uwierzyć, iż jestem we władzy diabłów. Czułam się oburzona na rosnące wokół mnie podejrzenia, jakobym była przez nie opętana, a gdy ktokolwiek wspominał mi, że jestem w ich władzy, nie mogłam pohamować gwałtownie wezbranego gniewu wobec takiej insynuacji”.

* * *

„Starałam się bardzo, aby być potrzebna tym, którzy byli u władzy. Jako że było nas tylko kilka zakonnic, matka Przełożona zmuszona była przypisać mi kilka obowiązków przy zarządzaniu naszą społecznością. Nie znaczy to, że nie mogła sobie poradzić beze mnie, były przecież inne zakonnice, bardziej pojętne ode mnie, tylko że ja wystarczająco narzucałam się jej z tysiącem drobnych przysług, i w ten sposób stałam się dla niej niezbędna. Doskonale wiedziałam, jak przystosować się do jej humoru, temperamentu i jak nad nimi panować. W końcu chwaliła ona tylko to, co przeze mnie zostało zrobione, wierzyła nawet, iż jestem dobra i cnotliwa. Nadełto to moją dumę do tego stopnia, że bez trudności potrafiłam zachowywać się i działać tak, aby było to warte pochwały. Nauczyłam się symulować i poznałam mechanizm hipokryzji do tego stopnia, że Matka Przełożona mogła o mnie dobrze myśleć i przytakiwać wszystkim moim uczynom. Doszło do tego, że obdarowała mnie wszystkimi możliwymi przywilejami, których bardzo nadużywałam. Jako że sama była dobra i cnotliwa i wierzyła, że ja też jestem na drodze chrześcijańskiej doskonałości, która zaprowadzi mnie do Boga, zapraszała mnie często na dyskusje z mądrymi mnichami. Wszystko to czyniłam, aby wydać się jej jeszcze cnotliwszą”.



Jak należy odróżniać prawdziwe opętanie od udanego

albo — od symptomów naturalnej choroby? Otóż Kościół przepisuje cztery próby: próba języka, próba nadprzyrodzonej siły fizycznej, próba lewitacji oraz próba jasnowidztwa i przewidywania. Jeżeli ktoś w danym momencie potrafi zrozumieć obcy mu język, albo jeszcze lepiej, posługiwać się językiem, którego nie rozumie będąc w normalnym stanie; jeśli może zmanifestować cud lewitacji i dawać niezliczone przykłady wielkiej siły fizycznej; i gdy jest w stanie przepowiedzieć przyszłość lub opisać wydarzenia mające miejsce w dużym oddaleniu — można wtedy śmiało przypuszczać, że osoba ta jest opętana przez diabła. (Największym nieszczęściem jest to, że osoba taka może też być wówczas obdarzona łaską bożą, gdyż bardzo często cuda boskie i diabelskie objawiają się w identyczny sposób). Lewitacja świętych ascetów da się odróżnić od lewitacji ekstatycznych opętańców jedynie przy pomocy moralnych przyczyn i następstw wydarzenia. Często trudno jest te moralne przyczyny i skutki właściwie ocenić i nieraz zdarzało się, że osoby najświętsze były podejrzane o pomoc szatańską, a nie boską przy demonstrowaniu zjawisk nadprzyrodzonych.

Takie są oficjalne i uświęcone reguły na wykrycie opętania diabelskiego. Spróbujmy teraz przez chwilę znaleźć się w sytuacji egzorcy-



stów i im współczesnych. Przyjmując kościelne dowody na opętanie za niezbite, zbadajmy, na jakich podstawach uznano zakonnicę za opętane, a księdza Grandier za czarownika. Zaczniemy od próby, którą najłatwiej zaaplikować i którą w praktyce najczęściej stosowano — próbę języka. Dla wszystkich chrześcijan starej daty zdolność mówienia obcymi językami była łaską nadprzyrodzoną, darem Ducha Świętego. Była ta zdolność też symptomem opętania (jak widać, nawet świat nadprzyrodzony jest dwuznacznej natury). Z psychologicznego punktu widzenia taki „językoznawca” nie mówi jasno i bezbłędnie w języku dotychczas mu nie znanym. Jest to raczej mamrotanie mniej lub bardziej przypominające mowę i w związku z tym dające się zinterpretować przez dobrotliwych słuchaczy jako niezrozumiała wypowiedź w języku, który akurat sami znają. W przypadku, gdy ktoś będący w transie wykazywał się nagle niepodważalną znajomością języka w stosunku do którego, będąc w pełni świadomy, przejawiał kompletną ignorancję, badania ujawniały, że albo znał on ten język w dzieciństwie i później go zapomniał, albo przyswoił go sobie fonetycznie, ze słyszenia, nie znając w ogóle znaczenia słów, które wypowiadał. W świetle naszej współczesnej znajomości psychologii, a szczególnie telepatii i transu, wydaje się wątpliwe, aby rzekomy opętaniec przeszedł próbę języka nie wzbudzając naszych wątpliwości. Kroniki tamtych czasów zanotowały wiele porażek przy takich próbach, a te mówiące o sukcesach — nie wydają się do końca przekonujące.

Niektórzy specjaliści od tej branży bardzo pomysłowo i skutecznie przeprowadzali próby języka. W roku 1598 Martha Brossier zdobyła sławę równą sławie naszych gwiazd filmowych, wykazując się wieloma przekonującymi dowodami na opętanie. Jeden z objawów — a bardzo to znany i tradycyjny objaw — polegał na konwulsyjnym miotaniu się na każdy dźwięk słowa modlitwy lub egzorcyzmu. (Diabły nienawidzą Boga i Kościoła, wobec tego wpadają we wściekłość, a nawet szalą sły-

sząc święte słowa z Biblii lub z modlitewnika.) Aby sprawdzić jak dalece Martha posiadała łacinę (i diabła), biskup Orleanu otworzył swojego Petroniusza i uroczyście zaintonował niezbyt pouczającą i aż nazbyt nieecenzuralną opowieść matrony z Efezu. Skutek był magiczny. Jeszcze przed końcem pierwszego, górnolotnie brzmiącego zdania, Martha tarzala się po podłodze, przeklinając biskupa za to, że kazał jej tak okropnie cierpieć przy czytaniu Słowa Świętego. Warto nadmienić, że Martha uciekła od biskupa, aby schronić się u Kapucynów, którzy oświadczyli, że jest ona niesprawiedliwie ścigana, a następnie wykorzystywali ją do przyciągania tłumów na odprawiane przez nich egzorcyzmy.

O ile mi wiadomo, nie stosowano testu Petroniusza na zakonnicach z Loudun. Natomiast podobną w skutkach próbę zastosował w Loudun przejezdny szlachcic, który wręczając egzorcyście zamknięte pudełko szepnął, że jest ono pełne bardzo świętych relikwii. Pudełko to przyłożył egzorzysta do głowy jednej z zakonnice, która natychmiast zaczęła wyć z ogromnego bólu. Zadowolony egzorzysta zwrócił szlachcicowi pudełko i okazało się, że jedyną jego zawartością była odrobina popiołu. „Ach, mój panie” — zawołał zakonnik — jak można było tak niesmacznie zabawić się cudzym kosztem?”

Wszystkie te zakonnice, które nie znały łaciny, były opętane przez diabły, które również nie znały łaciny. Aby wyjaśnić ten dziwny fakt, jeden z franciszkańskich egzorzystów orzekł na kazaniu, że istnieją diabły wykształcone i niewykształcone. Jedyne wykształcone, uczone diabły to te, które nawiedziły Przełożoną. Ale nawet diabły Joanny nie wyróżniały się wielką uczonością. Oto przebieg egzorcyzmu przeprowadzonego na matce Joannie 24 listopada 1632 r.:

„Ksiądz Barré wnosi Hostię i pyta się diabła „Quem adoras?” (Kogo czcisz?) Odpowiedź: „Jesus Christus”. Na to miejscowy taksator rzekł dosyć głośno: „To nie przystoi diabłu”. Egzorzysta zmienił więc pytanie na „Quis est iste quem adoras?” (Kto jest tym kogo czcisz?) Joanna odpowiedziała „Jesu Christe” (zamiast „Jesum Christum”), na co kilka osób zauważyło: „Cóż za okropna łacina”. Biedna Joanna! Nigdy nie była w stanie opanować w tym stopniu łaciny, aby zrozumieć cały ten nonsens z przypadkami. Nominativus, accusativus, vocativus... Jesus Christus, Jesu Christe — starała się jak mogła; a oni i tak musieli powiedzieć, że to okropna łacina!

[Fragmenty książki A. Huxley'a
„The Devils of Loudun”]

Przełożył Wiesław Górski

UWAGA ZAKŁADY PRACY I SZKOŁY

Zamówienia zbiorowe na bilety ulgowe dla zakładów pracy i szkół przyjmuje codziennie w godz. 9—16 Biuro Organizacji Widowni, ul. Zapolskiej 3, tel. 387-89.

Przyjmujemy zgłoszenia osobiste, listowne i telefoniczne.

Ceny biletów	norm.	ulgowe
I strefa	21 zł	15 zł
II strefa	17 zł	12 zł
III strefa	13 zł	9 zł

ZASTĘPCA DYREKTORA
d/s ADMINISTRACYJNYCH
JANUSZ KOZIOROWSKI
KIEROWNIK TECHNICZNY:
MIROSŁAW DZIKI
BRYGADIER SCENY:
ANTONI KOŁACZEK
KIEROWNICY PRACOWNI:
KRAWIECKIEJ DAMSKIEJ:
WANDA PRECKAŁO
KRAWIECKIEJ MĘSKIEJ:
JERZY HELAK
PERUKARSKIEJ DAMSKIEJ:
ZOFIA HEJNE
PERUKARSKIEJ MĘSKIEJ:
MIECZYŚLAW WOJCZYŃSKI
SZEWSKIEJ
MIKOŁAJ BRATASZ
MODELATORSKIEJ:
ALOJZY CZEPUŁKOWSKI
STOLARSKIEJ
MICHAŁ PRAJSNER
MALARSKIEJ:
TADEUSZ CHĄDZYŃSKI
TAPICERSKIEJ:
RYSZARD TKACZYK
ŚLUSARNIA:
KAZIMIERZ BABIEC

REDAKTOR PROGRAMU
~~MARIA DĘBIECZ~~
HANNA SARNECKA-PARTYKA
OPRACOWANIE GRAFICZNE
WANDA GOŁKOWSKA

Instytut Teatralny
ze zbiorów Polskiego Ośrodka ITI

EGZEMPLARZ
BEZPŁATNY